Od autora: Moje początki, jest tego nieco więcej.

Koniec

Pierwsza w tym roku warstwa śniegu pozbawiła świat kolorów. Całkiem niedawno, kiedy ziemia otrzepywała buty przed wejściem do świątyni świata, gdzie miała zająć miejsce na tronie pór roku, kolory owe połyskiwały w ostatnich blaskach jesiennego słońca, tak melancholijnego i efemerycznego, jak zdaje się nieraz być nasze życie. Barwy schyłku tej jesieni poszarzały, przeczuwając nadejście nowego końca w życiu Adama K.

Jego dom pachniał żywicą, stęchlizną i przypalonym mlekiem. Unosił się w nim duch człowieka niewrażliwego na kuchenne ambicje, które chciała mu zaszczepić jego matka, zmarła przed rokiem, w czas, kiedy złota poświata słońca świeci najboleśniej, kiedy nasze ciało poci się, wydając nieprzyjemny zapach starych, przenoszonych skarpet.

Cień padał na niezadowoloną z powodu ciągłego obijania o nią drzwi szafę. Jej mahoniowa okleina ucierpiała od żeliwnej klamki, pozostawiając w sobie ranę bolesną i drapaną z dnia na dzień, przy każdym ponownym wpuszczeniu zimowego powietrza w głąb kuchni. Z niej zawsze Adam K. wyciągał zapałki, by wzniecić płomień gazu na starej i zniszczonej kuchence. Szafa była Prometeuszem, którego co rusz szarpała swym tępym owalem klamka. Nie było w tym incydencie egzaltacji, wzniosłości, nie było Zeusów i ofiarowanych ludzkości dobrodziejstw. Była tylko powtarzalność, nieustająca i wręcz namiętna. Adam K. już dawno zapomniał o bólu Chrystusowym, wzniosłym i potrzebnym. Niósł swój krzyż, ale ciągle potykał się o próg drzwi, prowadzących z pokoju ojca do łazienki. Dopiero jego choroba wymusiła odsunięcie stolika nocnego i ponowne zakontraktowanie zagraconego przejścia do pracy.

Co godne wytłumaczenia czytelnikowi: do domu Adama K., byłego funkcjonariusza milicji, wchodziło się przez kuchnię. Tylko i wyłącznie, bowiem klucz od drzwi wejściowych zawieruszył się gdzieś i w końcu zgubił na dobre dawno temu, zapewne wpadłszy pod którąś z komód, stojących dumnie w korytarzu prowadzącym do salonu. Teraz jednak znajdujemy się w drugiej części domu, eksploatowanej powoli przez zmęczone życiem stopy właściciela.

Dzwonek nie działał od dobrych trzech tygodni, wtedy to bowiem Halina, siostra gospodarza, przywiozła ojca – sparaliżowanego i cierpiącego. Ten człowiek był dla Adama K. tylko balastem, którego nie sposób się pozbyć, niby ubrania w gorący dzień, czy przenoszonej pidżamy po koszmarnej, chorobliwej nocy. Dlatego to zapamiętał tę datę: wówczas wydano na niego wyrok nowego końca. Siostra zapowiedziała, że wyjeżdża do jednego z zamorskich krajów, nietkniętych wojną i propagandowym zgiełkiem komunizmu, o których Adam K. wiedział tyle, ile usłyszał od sąsiada, który zginął przywalony drzewem, zeszłej wiosny, kiedy złoty świt ogarniał swoją zielenią świat i pozwalał dostrzec więcej piękna i nadziei.

Dziś dzwonek zabrzmiał ponownie i Adam K. wystraszył się, rzucając w paroksyzmie chwilowego szaleństwa widelec na podłogę. Poszedł boso do drzwi, pamiętając, by podnieść dezertera, który dopuścił się zdrady dłoni na rzecz niechlujnej i niesympatycznej wykładziny o barwie przypalonego omleta.

Ledwo otworzył, na jego ciele, nagim i owłosionym, zadomowił się wilgotny mróz, przez który musiał zaczerpnąć głębiej powietrza; poczuł się na powrót chłopcem, kąpiącym się w letnie, parne popołudnia w pobliskim jeziorze, pamiętał nagle uczucie, gdy jego serce zanurzało się w nieujarzmionej tafli jeziora.

Uśmiechnął się lekko i przemiło, raczej do swoich wspomnień, niż do postaci stojącej u progu; jakiś kundel obwąchiwał jego stopy. Ów pies, poczuwszy ciepło domowego zaduchu, wyrwał się właścicielce i wpadł do środka, przynosząc za chwilę w pysku widelec pachnący jeszcze konserwą, serwowaną dzisiaj na obiad.
Adam K. usłyszał na odchodnym, że jest starym zboczeńcem i że młoda kobieta, która złożyła mu wizytę, rozpowie wszystkim, jak mężczyzna spod numeru siedemnastego się prowadzi. Smutek wypłynął z dna umysłu czterdziestosiedmiolatka i zabarwił wszelkie myśli na najstraszliwszy z kolorów, kolor i zapach burzy, która spaliła kiedyś ojcu stodołę.

Porzuciwszy obiad, położył się na kanapie w kuchni, stałym miejscu kota Borysa, którego potrącił jakiś szalony jeździec kilka miesięcy temu, w miesiąc i dzień letni, żółty i kochany dla rolników, kiedy wiatr zamaszyście targa sianem, kiedy wystarczy dzień, by dojrzałe i pełnowartościowe zwieźć do stodoły. Pomyślał jeszcze, że nic nie stanie się, jak ojciec raz nie dostanie leków o właściwej porze. On i tak tylko siedzi i siedzi.

Trzy godziny później, kiedy chęć wypróżnienia się wzięła nad przytulną powłoką oniryzmu górę, ojciec nie żył. Był więc zaledwie trzytygodniowym obserwatorem ciała Adama K.; żołnierz w końcu rozprostuje nogi. Zaniosą jego trumnę na cmentarz pełen duchów i mar, które od czasu powrotu z frontu tak straszliwie go nawiedzały, przed którymi nieraz, gdy jeszcze mógł, uciekał, byle bliżej opiekuńczego światła.

Adam K. postanowił napisać list do siostry. Święta minęły w milczeniu, chłód póki co konserwuje ciało, trup nie śmierdzi, jednak kolejny koniec w harmonii zdarzeń przyszedł nieoczekiwanie i zgoła niepotrzebnie.

Siostro,
piszę do Ciebie, ponieważ pies, którego wpuściłem nieopatrznie do domu, wywlekł gdzieś mój widelec i przetrącił moją białą laskę. Jestem uziemiony i głodny. Ojciec umarł, trzeba pochować.

Twój zapomniany Adam.

Podpis złożył najstaranniej, jak potrafił i złożył kartkę wpół. Dopiero później zdał sobie sprawę, że siostra nie zostawiła adresu.

Rzucił ze złością piórem o ścianę. Atrament wystrzelił barwiąc ścianę i głowę nieruchomego ojca na niebiesko.

Adam K. nie czekał już na nic. Był bezradny.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Indianer, dodano 16.01.2013 09:27

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.